

Poronienie

Całe życie myślałam, że poronienie we wczesnych tygodniach nie może być aż tak wstrząsającym przeżyciem. Wiedziałam, że może zabołec. W końcu traci się nie samo dziecko, co myśl o tym dziecku. Nadzieję na jego narodziny. Wiadomość o ciąży zazwyczaj jest szczęśliwą nowiną i od razu zaczyna się wielkie planowanie na moment przybycia nowego członka rodziny. Kiedy te plany się rozsypują, to bardzo boli. Ale że aż tak druzgoczące? Że potem kobiety cierpią latami? Że popadają w depresję? Że zupełnie się poddają? Nie mieściło mi się w głowie, że utrata dziecka, którego właściwie się jeszcze nie miało, dziecka, którego nawet nie zdążyło się przytulić, poznać, może męczyć człowieka do końca życia, zniszczyć go, zupełnie zmienić jego postrzeganie świata.

Otwarłam oczy dopiero po rozmowie z pewną wyjątkową, silną kobietą – moją siostrą, która przeszła przez to piekło kilkanaście lat temu i zgodziła się podzielić się swoimi przeżyciami.

I PORONIENIE

Mieszkała wtedy w Anglii. Tam inaczej dba się o kobiety w ciąży. Do 20. tygodnia nienarodzone dziecko jest uważane za płód i nie czyni się żadnych kroków, by je ratować, gdy ciąża jest zagrożona. Maria poszła do lekarza w piątym tygodniu. Lekarka wtedy stwierdziła, że nie słycać bicia serca dziecka, ale uspokajała, że może być jeszcze za wcześnie. Umówiła ją na kolejną wizytę trzy tygodnie później. Nie robiła żadnych dodatkowych badań, nie wyrażała żadnego zaniepokojenia. Tydzień przed świętami było już pewne, że serce płodu nie zacznie bić, dziecko jest martwe. Lekarze stwierdzili, że nie będą go usuwać przed świętami i wyznaczyli jej termin dopiero za kolejne trzy tygodnie. Maria nosiła w sobie martwego człowieka przez niemalże miesiąc. Tego dnia, gdy przyszły do kliniki, dali jej tabletki, kazali usiąść we wspólnej sali, gdzie inne kobiety też czekały na usunięcie ciąży i zalecili, by w razie potrzeby oddania moczu podłożyć sobie wcześniej przygotowany tekturowy nocnik i zadzwonić na dzwoneczek, by przyszła pielęgniarka, która oceni, czy „to dziecko z ciebie wypadło, czy jeszcze nie”.

„Nie zdążyłam do tej łazienki. Zalałam im cały korytarz krwią, glutami nawet, ale okazało się, że to nie jest to. Inne dziewczyny już powoli wychodziły, bo u nich już było po wszystkim. Mnie wzięli na badania i powiedzieli, że zostawią mnie na noc w szpitalu, jak nie uda mi się tego z siebie wydostać przed dwudziestą. Nie chciałam tam zostawać, więc zaczęłam przeć. I urodziłam. Widać było, że ten płód...nie był taki, no... nie ma się co oszukiwać, ten płód był zgnity. Owleczony białym kokonem, poprzerastany, nie wyglądało to jak dziecko, bardziej jak takie wielkie, zgniłe jajo. Być może dlatego nie było to wtedy takie przerażające. Dopiero w domu dotarło do mnie, co się stało.

Ryczałam niesamowicie. To był pierwszy moment, kiedy miałam dość patrzenia na swojego partnera. Był troskliwy i czuły, ale nie mogłam na niego patrzeć.”

II PORONIENIE

Lekarze nie powiedzieli jej, co powinna zrobić po pierwszym poronieniu. Nie wyjaśnili, czy powinna odczekać, odpocząć. Pół roku później znów zaszła w ciążę. Tym razem zaczęło się od plamienia. Lekarz sprawdził ze znużeniem i wręcz lekceważąco, co się dzieje. *„Pogrzebał, pogrzebał i powiedział, że tam wszystko jest pozamykane i wysłał mnie do domu”*. W domu dostała silnego krwotoku. Tym razem poroniła w domu. Dziecko, które przyszło na świat nadal było w białym kokonie i jeszcze nie można było się w nim dopatrywać pełnego ludzkiego kształtu.

„Dlatego, że nie było widać takiego dokładnego kształtu, nie odczuwałam takiej bolesnej straty. Było mi źle, ale nie aż tak. Mogłam się z tym po czasie w pewnym sensie pogodzić.”

III PORONIENIE

Kiedy zaszła trzeci raz w ciążę, chciała, żeby tym razem wszystko potoczyło się inaczej. Gdy tylko się dowiedziała, poszła do lekarza i od razu zaczęła się domagać, by ją dokładnie zbadał, by dał jej tabletki na podtrzymanie ciąży, bo nie chce stracić dziecka po raz kolejny. Lekarz nie zareagował, tak jak ona tego oczekiwała.

„Oni mi tylko test ciążowy zrobili. Ja im mówię, panie doktorze, przecież ja test ciąży zrobiłam sobie w domu, ja chcę, żebyście mi pomogli. Powiedzieli, że mam wyjść, bo wezwą ochronę.”

Była w takiej desperacji, że nawet ochrona jej nie wystraszyła. Ostatecznie musiała się jednak wycofać. *„Jest im bardzo przykro, ale my do 20. tygodnia ciąży nie ratujemy. Tyle usłyszałam.”*

W domu rozboleł ją brzuch. I już wtedy wiedziała, że to się dzieje kolejny raz. Dwa poprzednie razy przynajmniej nie były tak druzgocące fizycznie. Tym razem zwiijała się z bólu. To był 11. tydzień. Myślała, że jeśli donosi jeszcze jeden, wtedy mogłoby się udać dotrzeć do końca. Nie donosiła tygodnia. Znowu dostała krwotoku. Koledzy wtedy ścierali za nią krew. Musiała podkładać pod siebie ręczniki, a nawet to nie wydawało się wystarczać. Zawieźli ją do szpitala, gdzie jeszcze raz usłyszała od lekarza, że nic się nie dzieje i to jest naturalne, powinna wrócić do domu i odpoczywać. Dostała tylko tabletki przeciwbólowe.

„Chciało mi się sikać. I już wtedy wiedziałam. Poszłam do łazienki, zdążyłam tylko podłożyć papier i to dziecko wypadło na papier. Ono wyglądało jak prawdziwe dziecko. Miało rączki, miało nóżki, miało oczka. Miało wszystko, po prostu. Ono było w pełni ukształtowanym człowiekiem. Postanowiłam, że nie będę się więcej starać. To był trzeci raz i za każdym razem to samo.

Powiedziałam, że nie, już nigdy więcej. Nie wiedziałam nawet, co z tym dzieckiem zrobić. Przecież nie spuszczę go w toalecie, bo jak? Wzięłam pudełeczko, zapakowałam to w ładny kawałek materiału i pochowałam w ogródku. Nie miałam wyjścia. Było mi z tym tak źle. Bo to nie powinno tak wyglądać, że dziecko moje jest pochowane w ogródku. Żeby to jeszcze był ogródek. Nie, to był kawałek betonu, na którym stała donica z ziemią. I w tej donicy z ziemią.”

IV PORONIENIE...?

Po czasie znów zaszła w ciążę. Ale tym razem nie miała już żadnej chęci walki. Nie wierzyła, że uda się jej urodzić to dziecko. Nie było sensu przywiązywać się do czegoś, co za kilka tygodni zostanie jej odebrane. Wcześniej nadawała swoim nienarodzonym dzieciom imiona. Mówiła do nich. Tym razem nie chciała znowu cierpieć, nie chciała się znowu rozczarować. Było jej to wszystko obojętne. Mimo to poszła do kliniki. Tym razem w Polsce. W szóstym miesiącu lekarka powiedziała, że wszystko jest w porządku, ale wciąż w to nie wierzyła. Bała się do samego końca. Uświadomiła sobie, że to się dzieje naprawdę, dopiero gdy trzymała w swoich ramionach malutką córeczkę.

CO CZUJE OTOCZENIE?

Ludzie nie rozumieją takiej straty, jeśli sami jej nie przeżyli. Ja sama jestem na to przykładem. Oczywiście, że współczują. Wiedzą, że to bolesne. Ale nie wiedzą, co się z tym wszystkim wiąże. Mogą być bardziej świadomi, jeśli któraś z ich bliskich osób przeszła przez taką traumę. I pewnie jak każdy człowiek z odrobiną empatii okażą wsparcie. Będą się starali być przy tej osobie, zaopiekować się nią. Nigdy jednak nie poznają tego samego uczucia, które będzie towarzyszyć niedoszłej matce do końca życia.

„Ten Paweł, który wtedy ścierał za mną krew... On się przejął niesamowicie. Był dla mnie praktycznie obcym człowiekiem, znalazłam go zaledwie kilka miesięcy. Zaangażował się całym sobą. Miałam wrażenie, że cierpiał wtedy bardziej niż mój partner. W pełni szanował moją prywatność, ale często sprawdzał, czy wszystko u mnie w porządku. Bardzo nas to emocjonalnie zbliżyło i już nawet po tym wszystkim dalej byliśmy przyjaciółmi.”

„Przy pierwszym poronieniu, jak już wiedziałam, że to dziecko nie żyje, ale dalej nosiłam je w sobie, pojechaliśmy do rodziny mojego partnera na święta. Ktoś przyniósł jakieś whisky, też poprosiłam, żeby mi nalali. Oni jeszcze wtedy nie wiedzieli, że noszę martwy płód właściwie. Jego rodzina na mnie naskoczyła, bo przecież w ciąży jestem i nie mogę. To była bardzo dobra reakcja. W końcu

skąd mogli wiedzieć? Dopiero, jak moja przyjaciółka wytłumaczyła sytuację, zaczęli patrzeć na to inaczej. Zmieniła się ich postawa. Sami mi dawali, żebym piła. Żebym tylko nie myślała.”

Ludzie z minimalnym pierwiastkiem empatii będą współczuć. Ale są też tacy, którzy powiedzą, że to wina kobiety. Że nie chciała tego dziecka i dlatego się nie urodziło. Odeszło, bo nie chciało takiej matki. Że ona sama jest sobie winna, że może lepiej, że tak się stało, bo nie nadaje się do wychowywania dzieci.

„Najbardziej zabolaty mnie słowa matki mojego partnera. Było mi źle, ona to widziała. Opowiedziałam jej całą historię. Usłyszałam od niej ‘Nie kłam. Ty usunęłaś.’. Potem się wydzierała, że usunęłam jej wnuka przez kolejne kilka godzin. A przynajmniej tak się czułam, jakby to były godziny. To było koszmarnie bolesne, bo marzyłam o tym dziecku. Chciałam go.”

CO CZUJE KOBIETA?

Kobieta czuje bezsilność. Nie ma przecież wpływu na to, co się dzieje. Jednocześnie ma wyrzuty sumienia. Ciągle zastanawia się, czy można było zrobić coś inaczej. Czy ONA mogła zrobić coś inaczej i temu zapobiec. Nie potrafi zrozumieć, że to nie jest jej wina. Wmówi sobie, że sama do tego doprowadziła. Bo podniosła worek z ziemniakami, niepotrzebnie się nadwyrężyła, zrobiła krzywdę temu bezbronnemu maluchowi, który rośnie pod jej sercem.

„Cały czas sobie wmawiałam. Mówiłam, że to była moja wina. Przy drugim razie akurat robiłam zakupy. Zaczęłam się obwiniać, bo byłam pewna, że gdybym wtedy nie niosła tej reklamówki z zakupami, to dziecko teraz by żyło. De facto w tej reklamówce były same drobiazgi. Wtedy to do mnie nie dochodziło.”

Kobieta wie, że coś straciła. Coś cennego. Czyjeś życie. Ale najbardziej uderza w nią moment, gdy zobaczy na swojej dłoni rozwijającego się małego człowieka, który ma rączki i nóżki, serduszko i oczy. Wtedy do niej dociera, że JEJ mały człowiek nie żyje. I mimo upływu lat wiele kobiet sobie z tym nie radzi.

„Ja do tej pory o tym myślę. Codziennie. Zastanawiam się, jak te dzieci by wyglądały, czy byłyby zdrowe, jakby się uczyły. Tyle lat już minęło. Dziecko z pierwszego poronienia miałoby już trzynaście lat. A jednak dzień w dzień... sny po nocach. Widzę te dzieci we śnie, wyobrażam je sobie, czasem widzę je w tej postaci, w której przyszły na świat. To już ze mną zostanie na zawsze.”

Myliłam się, przyznaję. Poronienie nie jest byle przeszkodą na drodze kobiety, którą wystarczy przeskoczyć i można żyć dalej. Nigdy w pełni nie zrozumieję tego doświadczenia. Przynajmniej nie do momentu, w którym sama tego nie przeżyję, a mam szczerą nadzieję, że uda mi się tego uniknąć. Teraz za to widzę, ile bólu może przynieść utrata kogoś, kogo właściwie jeszcze się nie miało. Jakie rozczarowanie niesie ze sobą kolejna nieudana próba sprowadzenia na świat wymarzonego maleństwa. I jak bardzo wpływa to na psychikę niedoszłych rodziców, a nawet ich otoczenia. Nie mogę powiedzieć, że rozumiem. Ale widzę.

Sara Piekut, I LO im. Marcina Wadowity w Wadowicach